



Przyjacielski wkład

Najlepsi przyjaciele
zawierają umowę,
która zmieni wszystko.

McGregor #1

KARINA HALLE



Tytuł oryginału

The Pact

Copyright © 2014 by Karina Halle

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2021

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Magdalena Lisiecka

Korekta:

Anna Adamczyk

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-711-6

KARINA HALLE

**PRZYJACIELSKI
UKŁAD**

BRACIA MCGREGOR #1

**TŁUMACZENIE
MALWINA STOPYRA**

OŚWIĘCIM 2021

Dla mojego męża Scotta za to, że dzięki niemu po trzydziestce zaczęła się prawdziwa przygoda – i wciąż trwa!

PROLOG

– To co, chcesz wziąć ślub?

Jestem tak skupiona na tym, co poszło nie tak podczas dzisiejszej randki, że ledwo słyszę, co powiedział Linden. A to wiele mówi, bo zwykle poświęcam mu całą swoją uwagę, niezależnie co się dzieje. Przypuszczam, że dzisiejsza kolacja z Panem Dupogębym to dla mnie po prostu za dużo. Jaki facet ubiera się w fular i dłubie w nosie na oczach ludzi?

– Steph – powtarza z tym swoim lekko szkockim zaśpiewem, a ja wreszcie odwracam wzrok od bąbelków w moim piwie i patrzę na niego. Czasami sprawia, że zastanawiam się, po co w ogóle zadaję sobie trud szukania kogoś innego, bo jest tak cholernie przystojny.

Ale to mój najlepszy przyjaciel. I jestem prawie pewna, że właśnie zapytał, czy chcę za niego wyjść.

– Co? – pytam, próbując się upewnić, że dobrze go zrozumiałam.

Uśmiecha się do mnie szeroko. Wolałabym, żeby tego nie robił. Czasem jego uśmiech wyrywa mi powietrze z płuc. Nie przesadzam. To kłopotliwe, ostre i gwałtowne uczucie, którego nie chcę doświadczać, bo, niech mnie, lubię oddychać.

– Zapytałem, czy chcesz wziąć ślub – powtarza, a ja zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie odbyła się tu jakaś niesłychanie ważna rozmowa i nic o tym nie wiem. Poza tym Linden... małżeństwo... te dwie kwestie jakoś zwykle nie idą w parze.

– Uch – stękam i naprawdę pragnę, żeby czerwień nie wypływała na moje policzki. – Wziąć ślub? Z tobą?

Wzrusza ramionami i upija łyk piwa w ten swój wyluzowany sposób. O tej porze w barze panuje głucha cisza, nie licząc muzyki, Faith No More i ich agresywne *King for a Day*, które James puszcza, kiedy chce, żeby ludzie poszli już do domu.

James Dupres, właściciel Burgundowego Lwa, mój były chłopak i najlepszy kumpel Lindena, kręci się w pobliżu, wyciera stoliki i rzuca pasywno-agresywne spojrzenia czteroosobowej grupce, która zebrała się w rogu. Poza nami byli jedynymi osobami, które przesiadywały tu na dziesięć minut przed zamknięciem.

– Tak, ze mną – odpowiada w końcu Linden. Wygląda na pewnego siebie, jak zawsze, pociera palcami brodę i wpatruje się wprost we mnie. Jestem blisko z Lindenem, najbliżej jak to możliwe w czysto platonicznej relacji między kobietą a mężczyzną. Ale mimo to nigdy nie rozmawialiśmy o czymś takim. Nasze gówniane randki? Tak. Ale małżeństwo i przyszłość, to, czego naprawdę chcemy od życia? Nie.

– Wyjaśnijmy sobie coś – mówię, ale nie znajduję odpowiednich słów, żeby kontynuować. Biorę głęboki wdech. – Prosisz mnie, żebym za ciebie wyszła?

Wzdycha i opiera się na krześle, jedno silne ramię przewiesza przez oparcie, a jego palce zaczynają bawić się moimi świeżo ufarbowanymi na czarno włosami.

– *Baby blue* – zaczyna, używając przezwiska, które wymyślił po naszym pierwszym spotkaniu, kiedy miałam niebieskie włosy w odcieniu wody na Karaibach. – Może jeszcze raz opowiedz mi o swojej randce.

Łypię na niego.

– Lepiej nie, kowboju. – Używam tego przezwiska z uwagi na jego wyrzeźbioną sylwetkę i krzaczaste brwi jak u młodego Clint Eastwooda. Do tego czasem jest trochę szowinistycznym dupkiem jak większość stereotypowych rewolwerowców.

– Racja. A ja wolałbym nie wnikać w to, dlaczego ostatnie pięć moich randek skończyło się tym, że musiałem radzić sobie sam pod prysznicem.

Prooooooszę, nie każ mi myśleć o tym, co sobie robisz pod prysznicem, myślę, albo zrobi się bardzo niestosownie, i to szybko. Przynajmniej w mojej głowie. Chociaż z drugiej strony tam zawsze jest niestosownie. Jakbym miała w niej wyświetlaną non stop galerię na Pinterście z gorącymi, ledwo ubranymi facetami.

– No właśnie – kontynuuje, odciągając moją uwagę od tych niegrzecznych obrazów. – Nie zaczynasz się zastanawiać, czy później nie będzie jeszcze gorzej? Ty jesteś piękna i mądra, ja jestem piękny i mądry... – Przerzywa i uśmiecha się sam do siebie. – To oczywiste. W tym roku kończymy dwadzieścia pięć lat... Co jeśli będziemy musieli dalej się z tym użerać? Całe to gówno, które prowadzi donikąd.

Unoszę brew niepewna, co zrobić z tą jego stroną. Żartuje sobie ze mnie czy mówi szczerze? Zawsze ma ten cwaniacki uśmieszek, niezależnie o jakich bzdurach opowiada, a już nieraz zrobił mnie w konia.

– Cóż, lubię myśleć, że moje życie potoczy się bardziej optymistycznie – odpowiadam.

Uśmiecha się i przytakuje.

– I powinno. Naprawdę powinno, spójrz tylko na siebie.

Mam spojrzeć na siebie? – myślę, zastanawiając się, co takiego on widzi.

– Ale co jeśli ta planeta jest pełna pieprzonych kretynów? Co wtedy... – Urywa, rozgląda się po barze i nachyla bliżej, a ja patrzę głęboko w jego ciemnoniebieskie oczy i dostrzegam, że jest pijany. – Pasujemy do siebie. Wiesz, że to ma sens.

Nie wiem, co myśleć.

– Jesteś pijany, Linden.

– Jestem mężczyzną, który ma plan.

– Od kiedy w ogóle małżeństwo jest twoim planem na życie?

Wzrusza ramionami i przeczesuje palcami gęste, mahoniowe włosy.

– Może i jesteś jedną z moich najlepszych przyjaciółek, *baby blue*, ale nie wiesz o mnie wszystkiego.

– Najwyraźniej.

Wykrzywia wargi w półuśmiešku.

– Ale kiedy weźmiemy ślub, będziemy mieć na to mnóstwo czasu. Na seks też.

Dobra, teraz widzę, że to dla niego rodzaj żartu, zresztą jak większość rzeczy w życiu.

– A co jeśli ja nie chcę wychodzić za mąż? – zauważam, odpychając od siebie myśl o nas dwojgu uprawiających gorący, dziki seks. – Czy kiedykolwiek wspominałam ci coś o małżeństwie i dzieciach?

– Nigdy – przyznaje. – Ale to nie znaczy, że o tym nie myślisz. Bo po co chodziłabyś na te wszystkie randki?

– Bo lubię się bzykać.

Śmieje się.

– Kolejny argument za.

Ściągam wargi, wpatrując się w niego. Myślę, że potrzeba mi kolejnego drinka.

Linden czyta w moich myślach. Podnosi się z krzesła i wchodzi za bar. James nie zwraca na to uwagi, a nawet gdyby – i tak nic by nie powiedział. Linden i ja mieliśmy dwadzieścia jeden lat, James dwadzieścia trzy, kiedy zaczęliśmy razem z nim pracować w Burgundowym Lwie. Z Lindenem ostatecznie zdecydowaliśmy się na coś większego i, mam nadzieję, lepszego, a James w końcu kupił to miejsce. Jednak nadal pozostało w nas coś z mentalności pracowników – nie przypominam sobie, żeby James kiedykolwiek policzył nam za drinki.

Linden wyjmuje z lodówki dwie butelki Anchor Steam i przesuwa je w moją stronę. W San Francisco panuje doroczna jesien-
na fala upałów, dlatego podwinął rękawy szarej koszuli, ukazując silne, opalone przedramiona i wytatuowane na wewnętrznej części cytaty z dzieł Charlesa Bukowskiego. Ma na sobie pod-

kreślające zgrabny tyłek spodenki w kolorze khaki, a na stopach czarne, znoszone kedsy, które nosi chyba odkąd się poznaliśmy, ale pasują mu.

Jeśli to niewłaściwie, by raz na jakiś czas pożerać wzrokiem najlepszego przyjaciela, to ja nie zamierzam zachowywać się właściwie.

– Więc co ty na to? – pyta, siadając obok mnie. – Może umówmy się, że jeśli nie poznamy nikogo do, damy na to, trzydziestki, pobierzemy się?

– Mówisz poważnie?

– Jasne. – Kiwa głową i przesuwając piwo w moją stronę. – Napij się, to może wtedy powiesz tak. Muszę przyznać, że trochę rarisz moje ego.

– Nie ma w tym nic złego – mówię i naprawdę tak myślę. Linden McGregor jest zabawny, uprzejmy, inteligentny, przystojny i ambitny. Ma dyplom z biznesu i już prawie zrobił licencję pilota helikoptera. Gorący z niego towar i każda dziewczyna chciałaby położyć na nim łapska.

Ale jest też egoistycznym, zarozumiałym i aroganckim graczem. Ciężko wydobyć z niego jakąkolwiek inną emocję poza zaciekłością – sposób, w jaki patrzy na życie i na ciebie, jakby chciał przeszyć cię włócznią. Jego egzystencja opiera się na samolubności, potrafi oddać się czemuś (lub komuś) z pasją przez minutę, a już w następnej staje się obojętny. To skomplikowany facet i czuję się dumna, że mogę nazywać go swoim najlepszym przyjacielem.

A jednak małżeństwo – czy choćby związek – to zupełnie inna para kaloszy, jeśli chodzi o niego, i nie jestem pewna, czy chciałabym w nie wejść. Tak, uważam, że jest cudowny, tak, sposób, w jaki czasami na mnie patrzy, sprawia, że w moim żołądku dzieją się dziwne rzeczy, i tak, często myślałam o tym, żeby się z nim przespać.

To znaczy więcej razy niż powinnam.

Ale taka umowa – wyjście za niego – nie zdałaby egzaminu.

Na szczęście wiem, że Linden tylko sobie żartuje.

Biorę duży łyk piwa, jeszcze chwilę trzymając przyjaciela w niepewności, wpychając kciuk w ranę jego ego, a potem przytakuję i mówię:

– W porządku.

– Serio?

– No chyba?

Uśmiecha się na tyle szeroko, że pojawiają się te jego sekretne dołeczki.

– Sprawiaś, że jestem bardzo szczęśliwym mężczyzną, Stephanie Robson.

Wywracam oczami.

– Jeszcze się okaże. Przy odrobinie szczęścia przed trzydziestką oboje będziemy w poważnych związkach i nie będę musiała zadreżać się myślą o praniu twoich gaci do końca moich dni.

– Albo robieniu mi dobrze – dodaje i puszcza do mnie oczko, czym tylko sprawia, że znowu wywracam oczami. – Przysięgnij na mały palec. Wiesz, że takiej obietnicy nigdy bym nie złamał.

To akurat prawda. Może jest bardziej poważny, niż myślałam.

Przełykam i wystawiam mały palec. Owija swój wokół mego, skórę ma gorącą i przyjemną w dotyku.

– Jeśli żadne z nas nie będzie w poważnym związku, kiedy oboje skończymy trzydzieści lat – mówi, patrząc mi w oczy z taką powagą, że wstrzymuję oddech – wtedy weźmiemy ślub. Zgoda?

Jakimś cudem odnajduję głos.

– Zgoda.

Wtedy on przyciąga moją dłoń do ust i składa pocałunek na jej wierzchu. Jeszcze więcej powietrza ulatuje mi z płuc.

– Myślę, że właśnie stworzyłem najlepszy możliwy plan B – mówi, a jego usta poruszają się przy samej skórze, zanim puszcza moją dłoń i podnosi butelkę, by stuknąć nią o moją. – Za nas.

Próbuję powtórzyć te słowa, ale nie opuszczają moich ust.

– Cholera, myślałem, że nigdy nie wyjdą – oznajmia James, podchodząc do nas. – Ile razy można powtarzać „niedługo zamykamy”, zanim załapią aluzję.

– Może powinieneś zacząć wyciągać broń – rzuca Linden. – Albo jeszcze lepiej: zacznij śpiewać.

– Zamknij się – odpowiada mu James. – Raz śpiewałem jako suport, a ty nigdy nie dasz mi o tym zapomnieć. – Linden i James byli kiedyś w miejscowej kapeli, Linden jako wokalista i gitara prowadząca, James na basie, ale chociaż byli dobrzy, to nie wystarczyło, żeby dalej w tym siedzieli. Scena San Francisco ma dość dużą konkurencję.

– A wiesz co? – mówi Linden i oczy mu błyszczą.

– Chcę wiedzieć? – pyta James, wzdychając i przechodząc za bar, żeby wytrzeć blat chyba już tysięczny raz.

– Steph i ja bierzemy ślub – oznajmia radośnie.

James przerywa i spogląda na mnie, żeby potwierdzić wiarygodność Lindena.

– To prawda – przyznaję, chociaż nie brzmi to szczerze.

– Co? – pyta, teraz patrząc na nas oboje. Chciałabym powiedzieć, że w tym, jak marszczy brwi, nie kryje się cień bólu, ale nie mam pewności. Czasami zapominam, że kiedyś byliśmy razem, co teraz brzmi dość nedorzecznie. Zaczęło się zaledwie kilka dni po tym, jak rozpoczęłam pracę w Burgundowym Lwie. James i ja nawiązaliśmy nić porozumienia i potem spotykaliśmy się przez rok. Linden był jego najlepszym kumplem i właśnie tak się poznaliśmy.

Jak widać, nasze rozstanie było dość łagodne, bo nadal się przyjaźnimy, ale jeśli mam być szczerą, to ja z nim zerwałam, i choć udawałam, że to była mniej więcej wspólna decyzja, zawsze zastanawiałam się nad tym, czy zraniłam go bardziej, niż mi się wydawało.

– Wiesz, że lubię mieć plan B – ciągnie Linden. – Dlatego zawarliśmy pakt. Jeśli żadne z nas nie będzie w poważnym związ-

ku do czasu, kiedy oboje skończymy trzydzieści lat, wtedy weźmiemy ślub.

James mruga, a potem zakłada za ucho pasmo poczochranych, czarnych włosów.

– To najgłupszy pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałem.

Linden zadziera brodę.

– Oj, nie bądź zazdrosny, stary.

James prycha.

– Nie jestem zazdrosny. Wy dwoje małżeństwem? Najbardziej wybredna kobieta na świecie z największą męską dziwką tegoż świata? Tak, bawcie się dobrze.

– Hej – rzucam z oburzeniem. – Nie jestem aż taka wybredna.

Ale Linden w ogóle nie czuje się urażony.

– Och, będziemy. Może otworzysz szampana, żeby to z nami uczcić?

James patrzy na niego znacząco.

– Ty stawiasz?

Linden wzrusza ramionami.

– To nasz przedzარęczynowy prezent od ciebie.

James wzdycha głośno, jakby na jego barkach spoczął jakiś ciężar, ale ustępuje. Zawsze ustępuje Lindenowi.

– W porządku – mówi, a potem wyjmuję z lodówki butelkę wina musującego. Odkorkowuje i nalewa je do grubych szklanek.

Wznosimy toast za pakt, a potem przechodzimy do standardowej rozmowy o nowych zespołach, filmach, programach telewizyjnych, hokeju (James i Linden są ogromnymi fanami San Jose Sharks).

Popijam drinka i nie mogę zaprzeczyć, że odczuwam ulgę. Za pięć lat całe to randkowanie i użeranie się mogą dobiec końca. Istnieje maleńkie prawdopodobieństwo, że za pięć lat wezmę ślub z moim najlepszym przyjacielem.

Ciekawe, czy pięć lat to dostatecznie długo, żeby zmieniła zdanie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

26

STEPHANIE

Promienie słońca wpadają do mojej sypialni, podkreślając ciemne włosy na ramionach i nogach mężczyzny leżącego obok. Lubię owłosionych facetów, ale poprzedniej nocy w barze nie przypominał goryla aż tak bardzo. Chociaż w sumie byłam mocno pijana. Wydaje mi się, że tańczyłam układ robota, kiedy koleś mnie złapał i zaczął całować.

Jęczę i odsuwam się od niego. Nie rusza się ani odrobinę, a ja nie mogę przypomnieć sobie jego imienia. Nawet nie jestem pewna, czy uprawialiśmy seks, aż dostrzegam zużytą prezerwatywę porzuconą w połowie drogi między łóżkiem a koszem na śmieci. Ohyda. Odpowiedzialna, ale i tak ohyda.

Wczoraj odbywała się moja impreza urodzinowa w Tiki Lounge, a to wyjaśnia nie tylko jednorazowy numerek i morderczy ból głowy, ale też kwiaty zwisające z brzegu łóżka. Czuję ukłucie rozczarowania – chciałam wejść w nowy rok życia na nowych zasadach (czyli przestać tyle pić w weekendy i nie sypiać z przypadkowymi facetami) i wychodzi na to, że mój pierwszy dzień jako dwudziestosześcioletki to kompletna porażka.

Powoli wyczołguję się z łóżka i wyjmuję koszulę nocną z komody, zarzucam ją na siebie i dodatkowo okrywam się szlafrokiem. Owłosiony koleś dalej śpi i przez chwilę zaczynam się obawiać, że może nie żyje, ale zauważam, że jego plecy unoszą się i opadają.

Wchodzę do łazienki i dokładnie przyglądam się odbiciu w lustrze. Wiem, że dla innych prawdopodobnie wyglądam tak samo, ale coś się we mnie zmieniło. Moja skóra ma złocisty odcień po lecie, ale jest trochę opuchnięta, oczy są niebieskie i okrągłe, ale w kącikach pojawiły się niewielkie zmarszczki. Ostatnio zrobiłam sobie schludnego, ciemnorudego boba, ale teraz włosy są tłuste i potargane. Przede wszystkim wyglądam na zmęczoną. I to nie dlatego, że prawie całą noc piłam Mai Tai, wisałam na przyjaciółkach i tańczyłam z dziwnymi kolesiami. Po prostu *jestem* zmęczona.

Jestem tak cholernie zmęczona staraniem się, by osiągnąć cel, do którego nigdy nie mogę dotrzeć. Myślałam, że kiedy skończę dwadzieścia sześć lat, będę miała już wszystko poukładane, a mam wrażenie, że jestem zaledwie w połowie drogi.

Do dwudziestych szóstych urodzin chciałam mieszkać u siebie, a nadal dzielę mieszkanie z moją koleżanką Kaylą. Trzeba to przyznać, San Francisco jest obrzydliwie drogie i bez drugiej części mojego planu nie będzie mnie stać na własne mieszkanie.

Druga część planu zakładała, że rzucę pracę w sklepie z ubraniami AllSaints w centrum miasta i w końcu otworzę własny butik.

Tak się nie stało. W zasadzie moje marzenie nigdy nie wydawało się bardziej odległe. Boję się skoczyć na głęboką wodę – znaleźć miejsce do wynajęcia, podpisać umowę, kupić wyposażenie, zająć się marketingiem, promocją i pracownikami. Chociaż własny sklep zawsze był moim marzeniem, czymś, co chcę robić, kiedy będę starsza, wydaje mi się, że z czasem coraz bardziej się tego boję. Marzenia wiążą się z opłatami oraz milionem możliwości, by ponieść porażkę i jeszcze musieć za to zapłacić.

Nie chcę ponieść porażki. Ale nie mogę też trwać w takim zawieszeniu.

Idę do kuchni i nastawiam ogromny dzbanek kawy, chociaż wiem, że z takim kaczem przełknę zaledwie małą filiżankę, gdy

słyszę dzwonek telefonu. Odbieram po cichu już po pierwszym sygnale, żeby nie obudzić śpiącego orangutana.

– Hej, staruszek. – W słuchawce rozlega się czarujący akcent Lindena. – Jak tam samopoczucie o poranku?

– Uch – stękam, chociaż się uśmiecham. – Czuję się jak kupa gówna.

– Tak myślałem – odpowiada. – A skoro mówimy o gównie, kim był ten facet, z którym wyszłaś wczorajszej nocy?

Wzdycham i opieram czoło na dłoni, opadając na blat.

– Chciałabym wiedzieć. Leży teraz w moim łóżku i śpi, jakbym go naćpała.

Następuje chwila ciszy, po czym Linden pyta:

– A co się stało z „koniec z sypianiem z kim popadnie” i „dwadzieścia sześć to nowa ja”?

– A ty niby co robiłaś zeszłej nocy? Bo z tego, co pamiętam, przez większość czasu trzymałaś język w gardle jakiejś drobnej dziewczyny.

– Język w gardle, kutas w cipce, na jedno wychodzi – stwierdza, a ja wydaję z siebie przesadny odgłos dezaprobaty w kwestii doboru słownictwa. Prawdę mówiąc, w jego ustach to zawsze brzmi seksownie. Zwałam to na szkocki akcent czy coś w tym stylu. – Poza tym ja w swoje urodziny nie wygłaszałam takich głupich postanowień.

To prawda, ale Linden nigdy nie chciał niczego zmieniać w swoim życiu. Teraz ma już licencję pilota helikoptera i pracuje na kontrakcie w lokalnej firmie. Jego rodzice są zamożni i wiem, że kupili mu na Russian Hill mieszkanie, w którym jest sam, i ani razu nie stwierdził, że sypianie z dziewczynami stanowi dla niego problem. W zasadzie wydaje się, że *niesypianie* z nimi mogłoby być gorsze.

– Tak czy inaczej – podejmuje. – Masz ochotę na jakieś śniadanie? Brunch? Lunch?

– Jasne – odpowiadam, szybko kalkulując, ile zajmie mi ogarnięcie się. – Mogę być gotowa za jakieś pół godziny, ale nie wiem, jak szybko pozbędę się tego gościa.

– Zostaw to mnie – rzuca Linden i się rozłącza.

O cholera. Boję się, co wymyślił. Miał diabelskie pomysły już nieraz.

Wracam do sypialni i zaglądam do środka. Facet nadal śpi i lekko pochrapuje. Biorę czarne dżinsy i długą, nabijaną ćwiekami bluzkę, po czym ruszam do łazienki. Kiedy wychodzę spod prysznicza, zaczesuję mokre włosy w kok i robię delikatny makijaż. Nadal czuję się beznadziejnie, ale przynajmniej moje policzki i usta mają jakiś kolor.

Wychodzę i z zaskoczeniem zauważam, że facet stoi w samych bokserkach i wygląda przez okno na ulicę. Odwraca się i uśmiecha do mnie zdziwiony. Jest uroczy, muszę mu to przyznać, ale nie na tyle, żebym chciała go zatrzymać.

– Och, hej – rzuca. – Masz piękny widok. – Wskazuje w stronę okna.

Marszczę brwi. Moje okno wychodzi na obskurną, meksykańską restaurację i zardzewiały rower, który od wieków stoi przyczepiony do słupa.

– Yyy, dzięki – odpowiadam, bardzo świadoma, że nie znam jego imienia.

– Byłaś naprawdę niezła wczoraj w nocy – rzuca z pożądlivym uśmiechem i podchodzi bliżej.

– Jak gorąca wariatka? – rzucam, robiąc krok w tył.

– Jak gorąca laseczka – poprawia.

Urocze.

– Masz ochotę na drugą rundę? – pyta i sięga po moją dłoń.

Och, nie ma mowy.

– Kochanie, wróciłem – słyszę głos Lindena, który przerywa tę chwilę, i czuję ulgę. Facet marszczy brwi zdezorientowany i spogląda na drzwi sypialni, w których pojawia się Linden.

– Wow, kto to jest? – pyta mój przyjaciel, uśmiecha się i mierzy gościa wzrokiem z góry na dół. Jest wysoki, ma szeroką klatkę piersiową i ramiona, więc jego postura wypełnia całą framugę, kiedy się o nią opiera. Wygląda zwyczajnie, ale bardzo męsko, w czarnej koszulce i ciemnych dżinsach. Jak zwykle kedsy są na swoim miejscu.

Patrzę na mojego gościa i czekam, aż się przedstawi, bo ja nie potrafię mu pomóc.

– Jestem Drake – mówi, wodząc między nami wzrokiem. Jest wystraszony. Nie pomaga, że Linden jest od niego o wiele większy.

– Drake – powtarza Linden, a potem odwraca się do mnie. – Już z nim skończyłaś? Teraz moja kolej?

– Co? – wyrzuca z siebie Drake i obezwładnia go totalne przerażenie.

– Tak – mówi Linden, zakładając ręce na piersi. – Widzisz, ja i Steph mamy taki układ, że lubimy się dzielić. Najpierw ona się zabawia, a potem ja. Nie masz nic przeciwko, prawda?

Facet robi się czerwony jak burak i zaczyna drżeć.

– Yyy, chyba powinienem już iść.

Linden unosi dłonie.

– Nie, nie, zostań. Możemy zająć się tobą oboje naraz, jeśli tak będzie ci łatwiej. O ile tylko nie przeszkadza ci, że będziesz na dole.

Drake chwyta swoje dżinsy i wciąga je chaotycznie, nawet nie zwracając sobie głowy koszulką, taki jest spanikowany.

– Linden – ostrzegam, a ten uśmiecha się szeroko i schodzi z drogi ucieczki przerażonemu Drake'owi. Słyszę, jak facet łapie buty, po czym drzwi się zamykają.

– Chamstwo – stwierdza Linden. – Palant nawet nie podziękował.

Wywracam oczami.

– Wiesz, że pozbyłabym się go sama.

– Tak, ale gdzie w tym zabawa?

Zabawne jest to, że Linden, by odstraszyć wszelkich facetów z mojego życia, zwykle nie musi robić nic, tylko się pojawić. Wielu z tych, z którymi się spotykałam, miało ogromny problem z moją przyjaźnią z Lindenem. Nie mogli pojąć, jak to możliwe, że jesteśmy tak blisko, a jednak między nami nigdy nic nie było.

Ja w zasadzie też nie potrafię tego wyjaśnić inaczej niż tym, że wcześniej spotykałam się z Jamesem. Mimo że pracowałam z Lindenem, poznałam go właśnie przez Jamesa, a kiedy już poznaje się najlepszego kumpla swojego chłopaka, to on zawsze pozostaje tylko nim. Nawet teraz, kiedy minęły lata od rozstania z Jamesem, wiązanie się z Lindenem byłoby złe.

Do tego oczywiście jest moim przyjacielem i nie myślę o nim w ten sposób. Tylko okazjonalnie pożeram go wzrokiem, nic więcej.

– Więc dokąd? – pytam, kiedy biorę torebkę i wpycham koszulkę Drake’a do śmietnika.

– Masz ochotę na lot helikopterem?

Odwracam głowę zaskoczona tym pomysłem.

– Zamierzasz zadzwonić po Jamesa? Bo jeśli tego nie zrobisz, będzie naprawdę dotknięty. – James zawsze narzeka, że Linden jeszcze nigdy nie zabrał go w przestworza. Mnie w sumie też nie, ale wydaje mi się, że to nie fair lecieć bez Jamesa. Jesteśmy trojgiem *amigo*, chociaż ostatnio mam wrażenie, że bardziej dwojgiem.

– Pracuje, *baby blue* – odpowiada lekkim tonem. – Jak zawsze, wiesz o tym. Będziemy tylko ty i ja.

Chciałabym powstrzymać to trzepotanie serca. Odchrząkuję.

– Dobra.

Godzinę później zjawiamy się w Marin County, skąd Linden zawsze lata. Niestety jesteśmy uziemi. Żaden helikopter nie jest dostępny tak na ostatnią chwilę, więc w końcu lądujemy w nadmorskim barze w Sausalito. Przyznaje, że jestem trochę zawiedzio-

na, bo nie zobaczę Lindena w akcji, ale cieszy mnie też Krwawa Mary w świetnym towarzystwie i z pięknym widokiem.

– Wiesz, kiedy będziemy małżeństwem – mówi Linden, gdy siedzimy tam już jakiś czas, patrząc, jak fale rozbijają się o brzeg, i podziwiając linię miasta w tle – będę cię zabierał w przestworza, kiedy tylko zechcesz.

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu.

– Czyli nadal bierzemy ślub?

– Trzydziestka już niedługo.

Piorunuję go wzrokiem.

– Hej, dopiero skończyłam dwadzieścia sześć lat. Odpuść mi. Wzrusza ramionami.

– Tylko ci przypominam. Pakt to pakt.

– Racja – odpowiadam i biorę duży łyk Krwawej Mary. Chciałabym na resztę życia też mieć taki pakt. Zerkam na Lindena z ukosa. – Będziesz mnie zabierał, kiedy tylko zechcę?

– Oczywiście – obiecuje. – Będziesz moją żoną. I spodobają ci się bonusy.

– Bonusy? Niby jakie?

– Helikopter i kutas – odpowiada. – Bzykanko w kokpicie. Obciąganie podczas lotu. Nie ma nic lepszego.

– Nie mów, że już to robiłeś – mówię i aż wzdrygam się na myśl, że jakaś cizia robiła mu loda w powietrzu.

Sięga ponad stołem i klepie moją dłoń.

– Będziesz pierwsza.

– Ależ ty jesteś romantyczny – rzucam oschle, a on się śmieje.

I tak mija kolejny rok.